

Janusz Leon Wiśniewski

Ewelina Wojdyło

NOWA ZELANDIA

✈️ PODRÓŻ ✈️
PRZEDŚLUBNA



[fragment książki](#)

Na parking przed lotniskiem, dokąd bezpiecznie do-
wiózł nas Aram, dociera po godzinie młoda Filipinka
z umówionej wypożyczalni samochodów. To nie my, ale
ona miała tam na nas czekać. Tak obiecywała. Wiezie nas
do biura kilkanaście kilometrów na południe. Tylko po to,
aby wydrukować tam jakieś papiery i podsunąć nam do
podpisu. Równie dobrze mogła je przywieźć ze sobą na
lotnisko. Ciągłe jest trzynasty, więc to pewnie ostatni pech
na koniec tego dziwnego dnia.

Po północy docieramy do hotelu na przedmieściach
Queenstown. To pewnie zupełny przypadek, ale jakże
wpisujący się w naszą rozmowę o szwajcarskim (ang.
Swiss) Montreux. Hotel nazywa się bowiem Swiss-Bel-
suites Pounamu*. A może to jednak nie przypadek?

* Swiss-Belsuites Pounamu, 110 Frankton Road, Queenstown, tel. + 64 3 442 4868,
www.swiss-belhotel.com/en-gb/swiss-belsuites-pounamu-queenstown.



Ruth w swojej księgarnie w Manapōuri

Jesteśmy tak zmęczeni tym minionym 13 lutego, że nawet rozmawiać nam się nie chce. Zanim zasypiam, Linka szepcze mi do ucha coś o Woodym Allenie i Bogu. Dopiero teraz, z jej powyższego tekstu dowiaduję się, co powiedziałem, chociaż zupełnie tego nie pamiętam.

Rano podaję jej kawę do łóżka i wychodzę na przeszklony balkon. A tam cuda. Po lewej stronie rozświetlone porannym słońcem strzeliste góry, a na wprost błękitna tafla wody niekończącej się horyzontem lądu. Odruchowo wołam Linkę. Wyskakuje przestraszona z łóżka i dołącza do mnie owinięta prześcieradłem. Stojemy przytuleni do siebie, pijemy z jednego kubka kawę i w milczeniu patrzymy. A potem Linka opowiada mi wszystko, co wie o jeziorze, które rozpościera się przed naszymi oczami. Kiedy coś z przejęciem opowiada, to przeważnie gestykułuje. Na tym hotelowym balkonie nie było inaczej. Uniosła w pewnym momencie ręce, na drewnianą podłogę opadło prześcieradło i o jeziorze Wakatipu dowiedziałem się wszystkiego od nagiej kobiety. Pamiętam, że kiedy tak mówiła, gestykułując, wcale nie patrzyłem na to jezioro...

W samochodzie w drodze do Te Anau Linka karmi mnie śniadaniem, które zabraliśmy jako suchy prowiant z hotelu. Jem z jej ręki, oblizuję jej palce i wspominam przy tym Florydę i nasze śniadanie w drodze z Miami do Key West. W stareńkim kabriolecie ford mustang z otwartym dachem gnaliśmy smagani wiatrem przez 42 (sic!) mosty nad oceanem. Nigdy przedtem i nigdy potem serek

philadelphia rozmazany na bułce nie smakował mi tak bardzo jak wtedy na tych mostach.

Zatrzymujemy się w miasteczku Manapōuri. Do Te Anau to zaledwie 20 kilometrów stąd. Określenie Manapōuri miasteczkiem to duża przesada, chociaż miejscowi tak nazywają swoją osadę. Według Wikipedii w 2019 roku mieszkało tam zaledwie 228 osób. To najbardziej na zachód wysunięte skupisko ludzkie na Wyspie Południowej. Dalej są już tylko obozowiska turystów, którzy wybrali się do wnętrza Parku Narodowego Fiordland.

Zostawiamy samochód na parkingu w centrum osady i schodzimy stromym urwiskiem na piaszczystą plażę przy jeziorze. Bo miasteczko Manapōuri wzięło nazwę od ogromnego jeziora, do którego wschodniego brzegu się przytuliło. Jezioro nie jest tak duże (w kilometrach kwadratowych) jak zostawione z tyłu Wakatipu, a jego rozlewiszko ma zupełnie inny kształt. Jest jednak, co nas zadziwia, głębsze od Wakatipu (444 metry w najgłębszym miejscu). Dla przykładu nasz Bałtyk ma maksymalną głębokość 459 metrów.

Świeci słońce, piasek na plaży jest podobny do tego na naszej plaży w Brzeźnie, a woda, w której brodzimy, o dziwo, podobnie zimna jak w Bałtyku. Przyglądamy się z zazdrością kajakarzom. Kolejny raz żałujemy, że goni nas czas. Jezioro Manapōuri to istny raj dla amatorów tego sportu.

20 wysepek, wiele jaskiń, do których można wpłynąć, plaże, laguny, wodospady, wąskie kanały, opuszczone

chaty na zalesionych brzegach. Ale na to wszystko potrzeba całego dnia, którego nie mamy.

To miał być krótki przystanek po drodze do Te Anau, ale okazuje się, że zatrzymujemy się w Manapōuri na dłużej. Najpierw przykuwa naszą uwagę zabawny mały zielony domek, który okazuje się księgarnią*. Ruth, właścicielka, twierdzi, że na świecie nie ma mniejszego sklepu z książkami niż jej. Księgarenka na końcu świata. Oczywiście dla nas obojga smaczek. Sklep tak naprawdę składa się z dwóch zielonych domków.

Ślicznie kolorowe, radosne miejsce. Wpisuje się w bajkowe *ambiente*, więc jest tam oczywiście dużo książek dla dzieci (w pierwszym domku), ale są także te dla dorosłych (w bliźniaczo podobnym drugim domku). Kiedy wypytywana przez nas Ruth opowiada o nowozelandzkich pisarkach i pisarzach, włączam za jej pozwoleniem dyktafon. Tokarczuk nie zna, ale Miłosza tak. Wie także, że Joseph Conrad Korzeniowski był „w połowie” Polakiem.

Z księgarni ciągle uśmiechniętej Ruth przejeżdżamy do pomalowanego na biało drewnianego budynku, który przypomina niewielki, typowy dla brytyjskiej prowincji kościół prezbiteriański. Przy drzwiach prowadzących do środka widnieje czarna tablica z napisem: „The Church. Bar and Eatery”. To żaden kościół! To restauracja w budynku, który niegdyś był świątynią. Chociaż nie jestem

* The Wee Bookshop, 1 Home Street, 9679 Manapōuri.

pewien, czy protestanci w ogóle nazywają swoje kościoły tak patetycznie. Podejrzewam, że nie.

Jesteśmy bardzo głodni, więc dobrze się składa. Zaciekawieni wchodzimy do środka. Podłoga z desek, ciężkie stoły i krzesła z litego drewna spowite półcieniami. Wnętrze oświetlają promienie słoneczne wpadające przez witraże z białego szkła. Najwięcej stolików jest w nawie głównej. Wszystkie zajęte. Baru nie ma tam, gdzie pewnie kiedyś był ołtarz. W tamtym miejscu stoi stół bilardowy, a za nim na ścianie wisi wielki ekran telewizora. Grupa mężczyzn z butelkami w dłoniach ogląda mecz rugby, co chwila głośno pokrzykując. Siadamy przy stoliku w nawie bocznej. Czekając na zamówienie, dyskutujemy z Linką, czy przeobrażenie kościoła w knajpę jest akceptowalne. Wyobrażam sobie, że nie dla wszystkich. Dla niektórych lepiej by było, aby to miejsce zawsze było sacrum, nawet wtedy, gdyby pozostała z niego odstraszaająca ruina porośnięta mchem. Linka tego zdania nie podziela. Dla niej – ateistki – kościoły, i to jedynie wybrane, jawią się jako budowle interesujące wyłącznie w kontekście osiągnięć architektonicznych. A jeśli znajdują się w nich freski, malowidła, witraże lub rzeźby, to także jako odpowiedniki muzeów. Szanuje oczywiście kultowy charakter tych budowli, jednak jej zdaniem budowle jak budowle – czasami zmieniają swoje przeznaczenie. Można umieścić w nich księgarnie, ale także bar i restaurację. Tak jak tutaj, w The Church, w którym za chwilę nas nakarmią i napoją.

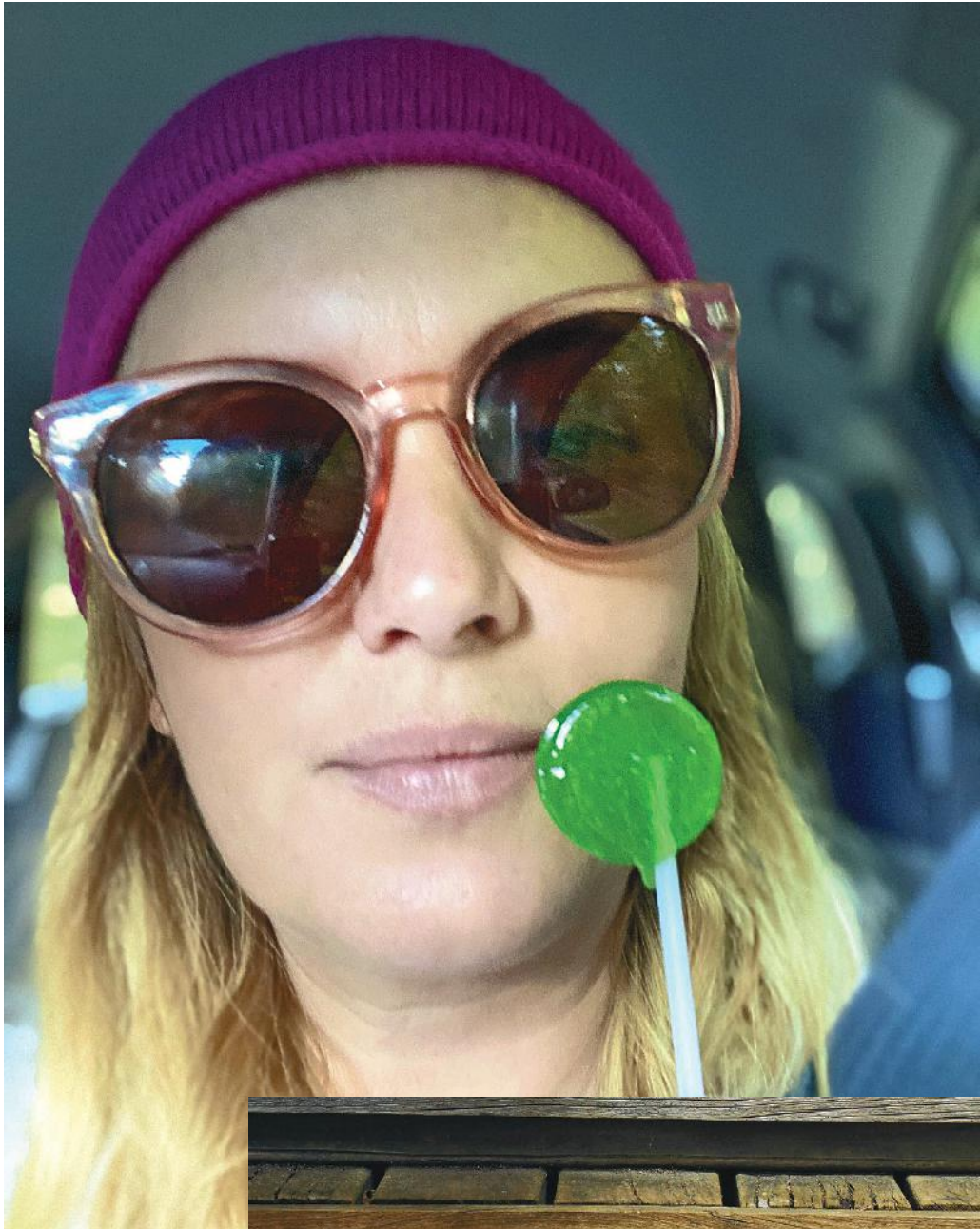
Historię byłego kościoła przerobionego na knajpę poznajemy z ust Jakoba, uprzejmego i rozmownego kelnera. Świątynię zbudowano w 1895 roku na wschodnim wybrzeżu Wyspy Południowej w małej maoryskiej osadzie o nazwie Pūrekireki. Kiedy kościół z braku wiernych zupełnie opustoszał, przetransportowano skorupę budynku 230 kilometrów na zachód i osadzono na nowych fundamentach w centrum Manapōuri, a potem zaadaptowano na restaurację i bar. Otu, i cała historia. Niektórzy przychodzą tutaj codziennie, a nie tylko w niedziele.

Jakob snuje też inne opowieści. Przysłuchuję się i spoglądam na Linkę. Momentami się uśmiecha, czasem jest zamyślona, ale także wzruszona. Chłonie każde słowo. Jakob, o którego istnieniu jeszcze godzinę temu nie wiedzieliśmy, w kilka minut opowiedział o ludzkim losie. W kościele przerobionym na knajpę...

A potem jedziemy drogą w kierunku Milford Sound tak daleko, jak tylko się da. Pod szlaban, który ją zamyka. Nikt go nie pilnuje, nie ma żadnych strażników. Kamer także. Tylko przymocowana do szlabanu tablica informuje, że dalej jechać nie wolno. Na dodatek, kiedy próbuję go podnieść, nie stawia większego oporu. Patrzą Lince w oczy. Nie muszę o nic pytać.

– Nusz, wiem, co ci krąży po głowie. Nie jedźmy tam. Nie róbmy tego, proszę! O tej zamkniętej drodze opowiadają nawet w radiu...

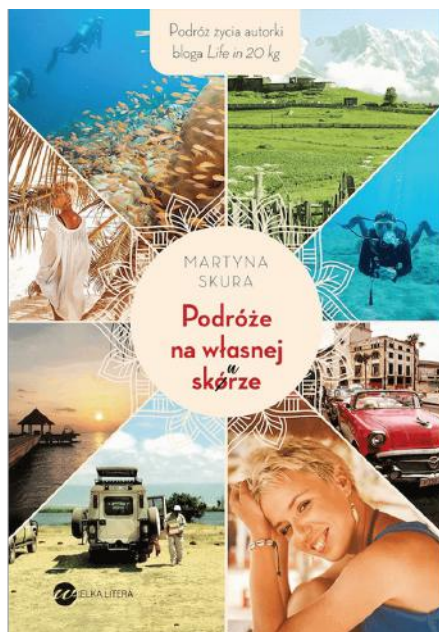
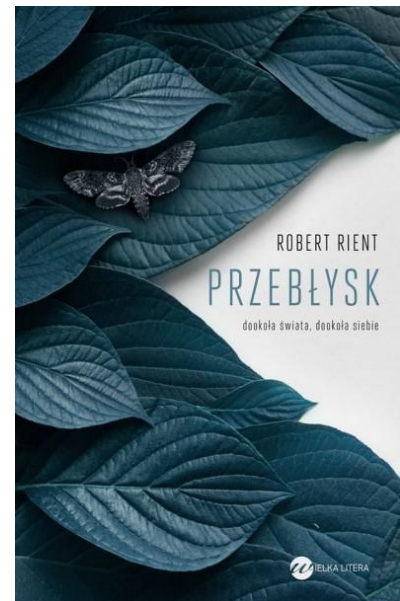
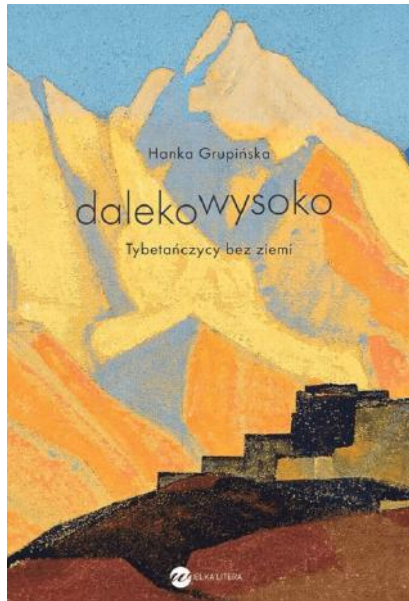
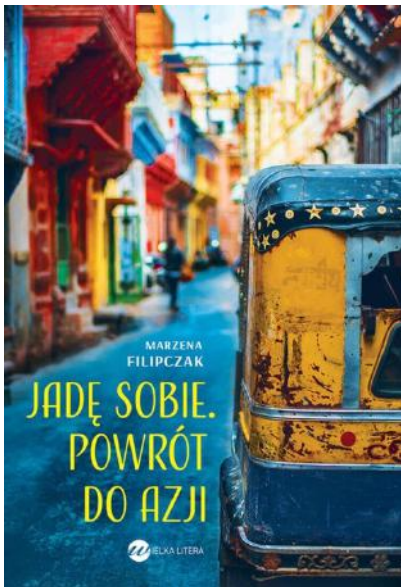
Ma rację. Odganiem tę niebezpieczną pokusę. Nie jedziemy. Zostawiamy auto pod szlabanem. Idziemy na



długi spacer. W pewnej chwili wyciągam z kieszeni zielonego lizaka kupionego w zielonej księgarence Ruth i podaję Lince. Tulimy się. Dzisiaj przecież 14 lutego, walentynki. Nawet tutaj, na końcu świata, lizak musi być.

W drodze powrotnej mijamy sporych rozmiarów zieloną tablicę z żółtym napisem: Latitude 45° South. Queens-town, do którego zmierzamy, leży poniżej 45 równoleżnika. Wyróżnienie akurat tego równoleżnika nie jest przypadkowe. Mijając go, jesteśmy dokładnie w połowie geograficznej drogi między równikiem a biegunem południowym. Polska jest po przeciwnej stronie. Także nieomal w połowie drogi do bieguna, tyle że północnego (w Bieszczadach na szczycie Opołonek, najbardziej wysuniętym na południe miejscu Polski, mogliby postawić tablicę Latitude 49° North). A my jedziemy dalej na południe. Jeszcze nigdy w życiu nie byliśmy tak daleko od domu i tak blisko Antarktydy.

Mogę Cię zainteresować również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl